

Byłem w Polsce – 25

29 września 2018

Poznaliśmy się w 1970 w Largactilu – pełnym dymu papierosowego klubie na Rynku Starego Miasta. Po „milionie” lat nie utrzymywania kontaktów spotkaliśmy się nagle – jak grom za jasnego nieba! I od razu wiedzieliśmy, że musimy pogadać! I to pogadać „pa duszam”!

Jak to zwykle przy takich spotkaniach bywa zaczęliśmy od pytań, ale w gruncie rzeczy to ja pytałem, bo Staszka jakoś moje powyjazdowe losy mało interesowały. Prawdę mówiąc było mi to na rękę, bo ostatecznie nie przyjechałem po to żeby opowiadać o sobie a raczej aby poznać różne opinie o nowych czasach, zmianach i w ogóle o nowej Polsce. I prawie od razu – po pierwszym moim pytaniu – poczułem u Staszka nutkę smutku, czy żalu.

– Pełne sklepy, mówisz? No i co z tego? Tyle z tego, że wszyscy gonią za pieniędzem, kupują i nie przestają się porównywać z Zachodem...

Staszek wyglądał jakby zniesmaczony.

Zamówiliśmy kawę. Patrzyłem na niego i starałem się przypomnieć nasze rozmowy sprzed lat. Niewiele się zmienił. Nigdy nie dbał o swój wygląd mówiąc, że nie obchodzi go co ktoś o nim powie. Parafrazował słynne powiedzenie Einsteina:

– Gdy jestem w domu to chodzę jak chcę, bo i tak wszyscy mnie tam znają, a jak jestem na ulicy, to też chodzę jak chcę, bo i tak nikt mnie tam nie zna.

Był jakby ponad codziennością, a jednocześnie cały czas o niej mówił.

– Mafia szaleje – opowiadał – po prostu dzieją się straszne rzeczy i ludzie nie śpią spokojnie, bo nikt nie wie czy ktoś

mu się do domu w nocy nie włamie, nie zgwałci żony i nie obrabuje do ostatniej złotówki.

Ale znając go wiedziałem, że w wielu kwestiach przesadza, faktom nadaje inne brzmienie i w każdej jego opinii, a nawet zdaniu jest drugie dno. Cały czas drzemał w nim wieczny rewolucjonista i buntownik, żyjący czasami "Po Prostu" i Klubu Krzywego Koła. Mówiąc o rozbojach i mafijnych porachunkach w latach dziewięćdziesiątych wracał do jednego ze swoich ulubionych tematów – do warszawskich gangów przestępczych. Pamiętam, że to był pierwszy temat, jaki poruszył gdy poznaliśmy się w roku 1970. Teraz znowu nawiązywał do tego.

Rozmowa ze Staszkiem nigdy nie była uporządkowana, bo zawsze kluczył, doszukiwał się jakichś nieistniejących znaczeń, a przede wszystkim mówił nieprzytomnie długimi zdaniami, w których nie mogłem wyłapać tego nadrzędnego. Wracał do dawnych lat, porównywał, drażył, o coś pytał żeby natychmiast samemu na to odpowiedzieć – jednym słowem – monolog z pogranicza szaleństwa. Ale Mantu – bo tak go niektórzy nazywali – taki już był.

W każdym razie zrozumiałem jedno, że siedzi w nim jakaś tęsknota za minionym, ale nie za systemem demokracji ludowej, czy powiedzmy komunizmem, ile raczej za walką z nim. Wyglądało na to, że żałuje konspiracji, zagrożenia ze strony bezpieki, buntu przeciw władzy i tego wszystkiego z czym zżył się za młodu.

W 1945 roku tym miał zaledwie siedemnaście lat i cała młodość upłynęła mu w latach stalinowskich, a potem w różnych formach kontestacji. Nie wiem dlaczego, ale wrażenie, że żał mu w pewnym sensie tamtych lat, nie opuszczało mnie do końca spotkania.

Staszek był akurat po ukończeniu swojego kolejnego filmu – tym razem o Himilbachu i cały czas wracał do niego i ciągle z pewną nutką zadumy i jakby nostalgii za tym prostym, biednym

światem, w którym – w mojej opinii – czuł się najlepiej.

Pełne sklepy, brak cenzury, otwarte granice – to wszystko było ważne, ale jak to się teraz mówi “nie do końca”.

I ciekawa rzecz, że podczas tego pierwszego pobytu w Polsce rozmawiałem z wieloma ludźmi i dość często miałem wrażenie, że ta nowa, kapitalistyczna rzeczywistość jakoś ich przerasta. Być może spotykałem niewłaściwych ludzi lub po prostu podobnych do mojego Staszka, dla których najlepsze ich lata upłynęły w opozycji.

Niemniej wszyscy doceniali wolność – a w szczególności to, że mają w domach paszporty i mogą jeździć “gdzie chcą”!

Staszek Manturzewski z całą pewnością był oryginałem, ale mimo wszystkich jego dziwacznych posunięć i zachowań stał twardo na ziemi i nigdy niczego nie zapominał. Pod koniec spotkania powiedział:

– A wiesz Marcin – cały ten czas nie mogę ci zapomnieć, że nie skontaktowałeś mnie wtedy z twoim Antkiem.

A mówiąc to wspominał mojego kumpla Antka Sobótkę, który w latach sześćdziesiątych chuliganił po Czerniakowie i dochrapał się pewnego uznania wśród warszawskiej żulii.

Staszek bardzo chciał się z nim zaprzyjaźnić, zrobić badania, wywiady bo pochłaniała go wtedy chęć napisania książki, ale Antek żadną miarą nie chciał się na to zgodzić i nawet zagroził mi obiciem pyska za “rozpowiadanie o nim po całym mieście!”

Rozstaliśmy się ze Staszkiem czując, że to chyba nasze ostatnie spotkanie. Rzeczywiście umarł w dziesięć lat później – w 2014. Mimo wszystkich jego dziwactw będzie pamiętany przez wielu. Przeze mnie z całą pewnością!

Myślę, że nie przystawał do tych historycznych zmian, które wstrząsnęły Polską. Ale inna rzecz, że mogę się mylić –

ostatecznie nikt nigdy nie wiedział co tak naprawdę drzemie w Staszku Manturzewskim.

Pięć dni to stanowczo za mało żeby wyrobić sobie jakąkolwiek opinię o polskich fundamentalnych zmianach. Byłem też żarłocznie ciekawy losów kolegów, znajomych a specjalnie tych, których miniony system wywindował wysoko i zapewnił znaczącą karierę.

Po paru telefonach umówiłem się z jednym z nich, z którym byliśmy na jednym roku na studiach. Nasze drogi jakoś się potem rozeszły, ale od czasu do czasu dochodziły mnie słuchy, że Włodek idzie jak burza, jest dyrektorem zjednoczenia i "szykuje się w ministry"! A trzeba wiedzieć, że taki dyrektor zjednoczenia to było stanowisko przez duże "S", z ogromnymi przywilejami i apanażami. To nie było jakieś tam "mickey-mouse byle co"!

No ale to było wiele lat temu, czasy się zmieniły więc byłem ciekawy.

Po paru próbach znalazłem jego telefon. Trochę potrwało zanim podniósł słuchawkę.

Oczywiście, trochę sapania dla złapania oddechu, bo widocznie musiał wstać i podejść do telefonu, ale za chwilę usłyszałem tubalny, dyrektorski głos i powszechnie znany wykrzyknik:

– Rodecki słuam!!!

W zasadzie, za dawnych czasów taki początek brzmiał trochę inaczej, bo mniej więcej tak:

– Rodecki! Czego chcecie??!!

Na szczęście czegoś takiego już nie było. Zostało mu tylko to „słuam!”

Naturalnie nazwisko i imię zmieniłem. Reszta jest prawdziwa.

Tak więc umówiliśmy się u Włodka w jego domu i jadąc tam czułem, że gdzie jak gdzie, ale tam na pewno znajdę odpowiedź na moje pytania dotyczące losów tych, którzy pozostali w Kraju.

– To co będzie: winiaczek czy czysta?

– Czysta. A jaką masz: wyborową czy żytko z kłosem?

– Marcinku! Wszystko mam! Co chcesz. Powiedz i otwieram!

Uwierzyłem na słowo i usiedliśmy.

Takie było nasze powitanko po, jakby nie było, trzydziestu latach niewidzenia. Rozglądałem się trochę po domu, ale raczej dyskretnie, bo ostatecznie niektórzy nie lubią tego. Szybko się jednak zorientowałem, że z Włodkiem nie ma “żadnych krępacji”, bo Włodzio był otwarty, wesoły, pełen ha, ha, ha i szerokich gestów.

Prawdziwy dyrektor! Gruby, mówiący głośno, co zdanie to dowcip i jak się okazało już po zawale... Nic mu to nie przeszkadzało w paleniu papierosów, które palił w domu, bo jak twierdził:

„U nas, stary, żyje się tak jak dawniej i nigdy nie pozwalałem, żeby mój gość wychodził i palił na ulicy! Moja Ewcia pali, ja palę i jak ktoś z gości ma życzenie zapalić to naturalnie też pali! Wódka stoi na stole i nie chowam jej gdzieś po kątach jak to teraz robią!”

– No, co tam u ciebie? Jak sobie radzisz?

– Włodziu, zaraz o tym pogadamy, ale powiedz mi jak tu było, jak jest, co się dzieje z naszymi kolegami...

– Kolegami? A różnie! Jedni już nie żyją, inni na emeryturze, mamy dwóch czy trzech ministrów, jeden to nawet wicepremierem został, ale o nim to chyba musiałeś w tej swojej Kanadzie słyszeć...

– Który to?

– A Grzesiek Kołodko. Ministrem finansów też był, ale w zeszłym roku zdjęli go z tego stołka...

– Popatrz, popatrz! A inni?

– No wiesz, sporo pouciekało – porozjeżdżało się po świecie, jak te szczury z okrętu...

– Włodek!!! Ja też wyjechałem...

– Aaa, przepraszam, przepraszam! Wiesz, mówiłem ogólnie, nie personalnie... No więc niektórzy powyjeżdżali, a reszta została.

Pytasz jak było, to ci powiem. Jeszcze tak do Solidarności to jakoś się ciągnęło, ale potem, jak się zaczęły te ciągłe strajki to myślałem, że zwariuję. Województwo dzwonili, Warszawa dzwonili, partia mnie naciskała – a ja między młotem i kowadłem! Towarzyszu dyrektorze to, towarzyszu dyrektorze tamto, towarzyszu dyrektorze a co będzie z planem???

A czy ja, do k... nędzy wiedziałem co będzie z planem?! Kim miałem robić? Wszystko się rozchodziło w szwach i nie było czym łątać.

Byłeś tu jeszcze, co?

– Jeszcze byłem...

– No to wiesz jak było. Łatwo nie było! To moje zjednoczenie to była wielka organizacja. Nie myśl sobie! Osiemnaście zakładów pracy! Nerwów do czorta, a pracy jeszcze więcej...Skończyło się zawałem, ale szybko się podniosłem i dalej do roboty! Na pierwszą linię Marcinku! Na pierwszą linię!

„Tu się psia nędza nikt nie oszczędza!”, Marcinku!

Autorstwo: Marcin Baraniecki

Źródło: [Goniec.net](http://goniec.net)